



Ludność polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.

Napisał

Dr Michał Janik.

Daleki od myśli, abym się kuśił o wyczerpujące sprawozdanie z tak rozległego i niesłychanie zajmującego przedmiotu, jakim jest stan kolonizacji naszej na ziemiach Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, przedstawię tylko w krótkości rezultat własnych spostrzeżeń, jakie poczyniłem w dwukrotnych wycieczkach za ocean Atlantycki. Pobyt mój na ziemi Ameryki wynosił w całości zaledwie pięć miesięcy, a więc czas niewystarczający, aby rozejrzeć się dokładnie po niezmiernych przestrzeniach między New Jorkiem a St. Francisco, między półwyspem Florida a daleko na północ wysuniętą Alaszką. Zwiędziłem jednak wszystkie prawie kolonie wielkomiejskie i niektóre osady rolnicze; zresztą polegałem na informacjach dobrze z przedmiotem obznajomionych osób trzecich i na wiadomościach słabo niestety rozwiniętej polsko-amerykańskiej prasy. Najwięcej cenię sobie spostrzeżenia osobiste, a tych, mimo wszystko, bardzo było wiele; wynik ogólny powinien zainteresować każdego, kto zajmuje się w jakikolwiek sposób przeszłością, teraźniejszością i przyszłością ludu naszego i narodu.

Skromna, choć pod wielu względami bardzo ciekawa, lite-

ratura wychodząca dopiero w bieżącym roku zdobyła się na zarys swoich dziejów, w którym ks. Wacław Kruszką w bardzo lakoniczny sposób opowiada o początku, wzroście i rozwoju dziejowym osad polskich w Północnej Ameryce. Z dawniejszych rzeczy o emigracji chlubnie wyróżnia się Henryka Nagła: Dziennikarstwo polskie w Ameryce i jego 30-letnie dzieje (Chicago 1894), sumienne studium nad ważnym objawem życia umysłowego amerykańskiej Polonii. Zasługuje jeszcze na uwagę Modesta Maryańskiego: O emigracji, a w szczególności o emigracji polskiej do Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki i o koniecznej potrzebie jej zorganizowania (Chicago 1898). Nieliczny poczet innych publikacji z tego zakresu nosi raczej charakter wrażeń podróży i należy do piśmiennictwa europejsko-polskiego¹⁾. Wspomniany już ks. Kruszką jest w posiadaniu obfitych i cennych materiałów, których oby jak najrychlejsze a całkowite wydanie będzie dla Ameryki bardzo pożytecznym, a dla nauki historii polskiej stanie się w swoim zakresie rzeczą pierwszorzędnej wartości.

Tradycja polsko-amerykańska sięga czasów przedkolumbowych. Uświadomieni Polacy amerykańscy z wielką cziągą przechowują podanie o Mazurze, Janie z Kolna, który jako komendant duńskich okrętów już w r. 1476 zawinąć miał do brzegów Labradoru. Z czasów przed walką o niepodległość kronika amerykańska zapisała przybycie Zborowskich w r. 1562 i polskiego nauczyciela niewiadomego nazwiska, którego koloniści holenderscy z Manhattan Island sprowadzili w r. 1659. W walce o niepodległość odznaczyło się kilku Polaków, a podręczniki historii ojczystej dla najmłodszej diatwy amerykańskiej zapisały nazwiska Kościuszki i Pułaskiego. Nieco później spotykamy Jezuitów białoruskich i Niemcewicza, potem niektórych rozbitków z wyprawy Jabłonowskiego na San Domingo, a nareszcie emigrantów politycznych z r. 1831, z r. 1848 (a między nimi zmarłego w Waszyngtonie dyktatora Tyssowskiego) i z r. 1863. Te zastępy oświeconych a poniewolnych wychodźców z natury rzeczy musiały się rozpląnąć w kulturalnie, plemiennie i religijnie obcem zbiorowisku. Emigracya sporadyczna

¹⁾ Tu należy n. p. książka p. Dunikowskiego, ks. Pindora i M. Janika Z wycieczki do Ameryki (Cieszyn 1900).

nie mogła wydać rezultatów, chociaż niektóre jednostki usiłowowały wytworzyć dla siebie pewien rodzaj łączności, czego dowodem już w r. 1863 wydawane w New Jorku pierwsze czasopismo polskie, p. n. »Echo z Polski«. Wytłaczano je u Schriftgiessera, podobno żyda polskiego z Królestwa. Pismo to zebrało nawet dość ładny fundusz na rzecz sympatycznego wówczas dla Ameryki powstania styczniowego, a wśród ofiarodawców między innymi figurują »Polacy wyznania mojżeszowego« i Czesi. Żywot tego pisma był niestety efemeryczny.

Moment przełomowy stanowi r. 1870, w którym emigracja stała się ludową i od kiedy zaczęli napływać liczni wychodźcy ze Ślązka, z Poznańskiego, z Prus i z ziemi Kaszubów. Pośród tych emigrantów przeważnie z pod zaboru pruskiego nie wiele było stosunkowo mieszkańców Galicji, Królestwa i Litwy. Ci pojawili się nieco później, gdy ruina materialna ze zdobytą po zniesieniu pańszczyzny wolnością i z krzewiącą się powoli oświatą kazały szukać ludowi polepszenia bytu na drugiej półkuli. Prąd wychodźczy trwa nieprzerwanie aż do chwili dzisiejszej. Pod względem narodowym ucierpiał na tem szczególnie Prusy, gdzie wysprzedawano się całemi osadami, pozostawiając ziemię przeważnie w rękach niemieckich. Dla ścisłości należy przypomnieć, że pierwsza ludowa fala wychodźców napłynęła ze Ślązka pruskiego już w r. 1854. Przybyło wówczas trzysta śląskich rodzin do Texas i założyło rolniczą osadę, p. n. »Panna Marya«, a pierwszym jej organizatorem był również Ślązak, ks. Leopold Bonaventura Marya Moczygomba.

Statystyka urzędowa z r. 1900 podaje liczbę żyjących nasyżych wychodźców w sumie 383,595 osób. »Spis ten¹⁾ obejmuje tylko takich Polaków, którzy przybyli ze starego kraju, a nie tych, którzy się w Ameryce urodzili; nadto nawet przybyłych ze starego kraju urzędowy census zapisał tylko takich jako Polaków, którzy na zapytanie: gdzie się urodził — odpowiedzieli urzędnikowi jak najwyraźniej: in Poland (w Polsce). Tych, którzy odpowiedzieli, że urodzili się w Galicji, Prusiech albo Rosyi, zaliczył urzędnik w poczet Niemców, Austryaków lub

¹⁾ Według książki ks. Kruszki.

Rosyan. Nareszcie tych, którzy z rodziców polskich urodzili się już w Ameryce, raczył census zaliczyć nie do Polaków lecz do Amerykanów. Dodawszy więc pominiętych przy spisie i urodzonych już w Ameryce, nareszcie przybyłych po r. 1900, otrzymamy prawdopodobną cyfrę około dwóch milionów chrześcijan Polaków, zamieszkałych w 810 osadach, skupionych w 517 parafiach polskich pod opieką 546 księży polskich. Cyfra dwóch milionów, chociaż nie jest ścisłą, nie jest jednak przesadzoną, o ile uwzględnia poczuwających się jeszcze do narodowości polskiej, a według informacji, czerpanych u Amerykanów, jest za skromną, o ile uwzględniałaby osoby pochodzenia polskiego, których wielka część uważa się dzisiaj już za Amerykanów, i zna tylko amerykański patryotyzm. Nie bezprzedmiotową wydaje mi się na tem miejscu uwaga, że Stany Zjednoczone wytwarzają raptownie odrębną narodowość, która, posługując się językiem angielskim i biorąc udział w angielskim życiu umysłowem, nazywa się jednak amerykańską. W skład jej wchodzi szybko ludzie różnego pochodzenia narodowego, którzy ani powiedzieć sobie nie dadzą, ani zrozumieć nie chcą, że amerykańskie pochodzenie nie przesądza jeszcze amerykańskiej narodowości. Nie wystarcza im nawet taki argument, że europejskie pochodzenie nie oznacza europejskiej narodowości. Czynniki wpływowe krzewią tego rodzaju hasła w dobrze zrozumianym interesie assymilacyjnym, który w połączeniu z przekonaniem o wyższości cywilizacyjnej języka angielskiego zdobywa bez przeszkody znakomite rezultaty. Zostać Amerykaninem i być za Yankesa uważanym — to szczyt marzeń wychodźców europejskich, nieraz już w pierwszym, a z reguły w dalszych pokoleniach. Wyjątki nie mogą być brane dzisiaj w rachubę. O ile zauważyć mogłem, — proces ten rozwijać się będzie w dalszym ciągu z nieubłaganą konsekwencją.

Czy moglibyśmy otrzymać dzisiaj dokładną cyfrę Polaków amerykańskich. Byłoby to możliwem w odniesieniu do osób chrześcijańskich. Takiego jednak spisu nie podejmie się rząd, któremu nic nie zależy na konserwowaniu narodowości, gdyż utrudniłoby mu to tylko inne zadania kulturalne. Mogliby to uczynić proboszczowie parafii polskich, którzy ze względu na czysto prywatny charakter wszelakich kościołów w Ameryce mają w każdej chwili dokładny przegląd swoich owieczek. Je-

dnakże przeważna ilość księży cyfr takich nikomu nie poda, gdyż od ilości wiernych zależy opłata grosza katedralnego, składanego na rzecz dyecezalnego biskupa. Ponieważ zaś biskupi ci są do dzisiaj bez wyjątku nie-Polakami, dlatego w spisach, przedkładanych biskupom, podaje się przeważnie cyfry możliwie najniższe. Dla tych różnych powodów cyfra Polaków w Ameryce zamykać się będzie prawdopodobnie zawsze tylko w granicach prawdopodobieństwa.

Ta około dwumilionowa masa polskiej ludności chrześcijańskiej rozpięzchła się po całej niezmiernej przestrzeni Stanów Zjednoczonych i w niewielkim odsetku po Kanadzie. Znaleść ją można jako farmerów i skwaterów (squatter) w najodleglejszych nawet okolicach i pustkowiach, lecz przeważna ilość skupiła się w niektórych tylko stanach i w niektórych miastach. I tu znowu podnieść należy z radością niezwykle energię ludu polskiego na drugiej półkuli i jego siłę ekspansywną, a zarazem wyznać ze smutkiem, ile Polska na tem traci, że lud ten pozostawiono na stopniu zupełnej małoletności we własnej ojczyźnie. Największa liczba polskich emigrantów zgromadziła się na czterech głównie terytoryach: w stanie New Jorku, przy kopalniach węgla w Pensylwanii, nad brzegami wielkich jezior środkowo-amerykańskich i nareszcie w stanie Texas. Na innych miejscach mieszkają tylko sporadycznie lub w mniejszych skupieniach. Proces osiedlania się większymi gromadami łatwo wyjaśnić przez to, że z jednej strony swojacy pociągali swojaków, z drugiej zaś strony zdani na łaskę losu przedewszystkiem wśród swoich szukali przytułku. Z większych miast amerykańskich największy procent ludności polskiej wykazuje: New Jork i Buffalo w stanie nowojorskim, Pittsburg w Pensylwanii, Cleveland w stanie Ohio, Detroit w stanie Michigan, Chicago w Illinois i Milwaukee w Wisconsinie. Po kilkanaście tysięcy ludności polskiej mają Baltimore, Philadelphia i St. Louis. Niektóre mniejsze miasta amerykańskie, jak Winona w stanie Minnesota, mają do połowy ludność polską. Nie brak Polaków w najosobliwszych dla piękności przyrody osadach amerykańskich, a więc w La Salle nad kanyonem rzeki Peoria, w Killburn City w okolicy prześlicznych łupków, przez które przedziera się rzeka Wisconsin; mają swój kościół w pobliżu najśluszniej podziwianych wodospadów Niagary, znajdzie

ich w mormońskim stanie Utah w mieście Salt Lake City, zbudowali sobie kościółek w Globeville nad Colorado, niedaleko owego cudu świata, Yellowstone Park, który Amerykanie nazwali ogrodem swoim narodowym (National Garden). W dzikiej Dakocie i na wyspach Hawajskich, w St. Francisco i wśród poszukiwaczy złota na Alaszce — wszędzie znajdzie się lud polski, nie w ciemnocie i zubożeniu, lecz w dostatku i swobodach wolnych obywateli amerykańskich.

Łatwo odgadnąć, na jakim gruncie poczęła się naprzód organizować emigracja ludowa. Z kraju rodzinnego wywozła zaledwie niejasne poczucie przynależności narodowej. Wyjątek stanowili wychodźcy z pod zaboru pruskiego, choć i tutaj w nierównej mierze. O prawach i obowiązkach społecznych żadnego prawie nie mieli wyobrażenia i z początku nie umieli zgoła korzystać z dojrzałości i równości obywatelskiej, któremi po kilkoletnim pobycie obdarzało ich ustawodawstwo amerykańskie. Obok jędrnego zdrowia i żywiołowej energii okropna ciemnota — oto najdokładniejsze słowa, któremi można scharakteryzować nadpływające fale wychodźstwa. Wrodzone zdolności miały się objawić dopiero później i to niemal wyłącznie pod wpływem stosunków amerykańskich. Jedynym łącznikiem emigrantów była wspólna mowa i fanatyczne przywiązanie do wiary katolickiej. Na podstawie wiary powstaje też pierwsza organizacja, a jest nią parafia polsko-amerykańska. Pierwszymi przewodnikami duchowymi byli księża starokrajscy, którzy, stare z ojczyzny wywołując poglądy, traktowali parafian swoich przeważnie po starokrajsku, czyli uważali ich za małoletni żywioł roboczy. Lecz już po kilku latach stan ten zaczął się gwałtownie przeobrażać, ale wskutek ciągle świeżych fal wychodźczych stosunki te do dnia dzisiejszego nie zostały jeszcze należycie ułożone. Mimo wszystko nie można jednak nie uznać wielkich zasług organizatorskich pierwszych zastępów duchowieństwa polskiego. Bez względu na to, czy duchowni ci kierowali się miłością współrodaków, czy względami samolubnymi, rezultat usiłowań pozostał dodatnim, gdyż zorganizowane w sestkach parafie polskie dawały silną podstawę do dalszej pracy kulturalnej nad ludem polskim. Niektórzy księża odznaczali się wyjątkowym talentem organizatorskim, a do tych zaliczyć należy w pierwszym rzędzie ks. Wincentego Barzyńskiego (od r.

1866), twórcy utrakwistycznego, polsko-angielskiego kolegium św. Stanisława w Chicago i ks. Dąbrowskiego, założyciela utrakwistycznego kolegium i seminarium duchownego w Detroit.

Oprócz ludu fala wychodźcza wyrzucała na brzegi Ameryki ludzi zawodów wolnych i rzemieślników. Oto jak przedstawia się w tym względzie statystyka urzędowa za r. 1900. Dla porównania przytaczam cyfry, odnoszące się do Niemców, Polaków i Rusinów. Wyemigrowało w tym roku do Ameryki 32,797 Polaków, Niemców 13,295 i 7,987 Rusinów. Na te cyfry ludzi zawodów wolnych (lekarzy, nauczycieli, artystów, księży, inżynierów i t. d.) z pośród Niemców było 1096, Polaków 23, Rusinów 2. Rzemieślników Niemców (przeważnie majstrów fabrycznych) było 4,660, Polaków 1865, Rusinów 33. Podobny stosunek da się widzieć i w latach poprzednich. Żywioly inteligentniejsze odegrały i odgrywają na emigracji wybitną rolę i z ich to szeregów rekrutowali się przeważnie ludzie, którzy zwalczają patryarchalne rządy duchowieństwa i usiłują oprzeć organizacją ludu polskiego na szerokiej podstawie swobód amerykańskich. Powstały stąd ferment, do dzisiaj nad wyraz zaostrzony, odgrywa wielką rolę w życiu Polonii amerykańskiej, niejedno dźwiga do góry, niejedno w zarodku zabija. Przewaga pozostała dotychczas w rękach duchowieństwa, a pochodzi to między innymi głównie z pobożności emigrującego ludu.

Najmniej zorganizowanymi są Polacy w New Jorku, bo tworzą tam pięć tylko parafii i trzy w sąsiednim Brooklinie. Przyczyną tego ogrom nowożytnego Babilonu i pobyt, na krótki czas zamierzony. O New Jork rozbija się pierwsza fala wychodźców i tutaj pochłania ich pragnienie jak najszybszego zarobku i powrotu do kraju. Nadto przebywający tu emigranci, których przyjmuje przy opuszczeniu okrętu *Dom dla emigrantów św. Józefa*, to przeważnie Galicyanie i Królewiaczy, a więc żywiol czysto roboczy i ciemny. Przytem o New Jork, zachowujący wśród miast amerykańskich najwięcej stosunkowo europejskich obyczajów, objają się w pierwszym rzędzie jednostki o barwie niepewnej, nieraz nawet obarczone starokrajskimi grzechami, i łowią ryby w mętnej wodzie. To miasto ma jednakże zarazem najwięcej inteligentnych wychodźców, którzy nawet próbowali i teraz jeszcze usiłują czasem stworzyć na nowym gruncie wyższe i czystopolskie życie umysłowe, za

którem tęsknią i którego potrzebę silnie odczuwają. Usiłowania to niestety chwilowe, które prędzej czy później muszą wygnać w pięciomilionowym zbiorowisku, miażdżącym i niwelującym doszczętnie działania niezasobnych mniejszości narodowych. Najbliższy nowojorskiemu stan New Jersey wykazuje podobne właściwości; toteż, choć oba sąsiadujące te stany mieszczą przeszło 400,000 Polaków, życie umysłowe polskie jest w nich, ogólnie biorąc, najslabsze. Wyjątek stanowi miasto Buffalo z 70,000 Polaków i z ośmiu polskimi parafiami, gdzie jednym z kierowników ruchu wychodźczego jest ks. Jan Pitas, energiczny wydawca »Polaka w Ameryce«. Buffalo, rezydencya niezależnego biskupa polskiego Kamińskiego, posiada cały szereg organizacyi o charakterze narodowym i biznesowym; dlatego też przyszłość żywiotu polskiego jest tam opartą na silniejszej podstawie i pozwoli ciekawemu Polakowi z Europy przez długie jeszcze czasy urządzać wycieczki w polskim towarzystwie do przesławnych wodospadów Niagary. Zarazem wolno się domyślać, że w amerykańskiej walce o byt zorganizowani Polacy nie dadzą sobie wydrzeć należnej części i zgotują dobrobyt swojemu potomstwu.

W stanie Pensylwanii po pięć parafii polskich mają Filadelfia i Pittsburg. Warunki życiowe emigrantów są do pewnego stopnia podobne nowojorskim. W Pittsburgu i okolicy ludność polska pochodzi przeważnie z Galicyi i Królestwa i pracuje ciężko w tamtejszych kopalniach węgla i hutach żelaznych. Ponieważ ludność ta jest ciemną, więc walka o byt odbywa się nierzadko w ciężkich warunkach. Wyższych form życia umysłowego Pittsburg nie posiada i czeka dopiero na dzielnego organizatora. Liczba Polaków w całym stanie dochodzi do 350.000 osób.

Przestronny, a słabo stosunkowo zaludniony stan Texas liczy do dwudziestu tysięcy Polaków, osiedlonych w 34 osadach. Są to przeważnie osady rolnicze, wcale zamożne, z nazwiskami często polskimi, jak: Panna Marya, Bandera, Św. Jadwiga, Częstochowa, Kościuszko, Gazeta i Pułaski. Typ farmera polskiego z tych okolic jest bardzo sympatycznym. Podobny typ spotyka się jeszcze na krańcach Wisconsinu, w Minnesocie i sporadycznie w obu Dakotach.

Najkorzystniej jednak przedstawiają się kolonie polskie

w okolicy wielkich jezior, to jest w stanach: Illinois, Wisconsin i Michigan, które liczą razem przeszło 700,000 Polaków. Największą kolonią polską w Ameryce jest miasto Chicago, w stanie Illinois, nazywane amerykańską Warszawą. Sami chrześcijanie Polacy mają tutaj 19 kościołów, a między nimi stolica Zmartwychwstańców, Stanisławowo, ma sama jedna do 40,000 parafian. Kościół ich podzielony jest na dwa piętra, na których w niedzielę i święta równocześnie odbywają się dwie sumy. Dwie parafie należą do Niezależnych, którym przewodniczy niezależny biskup polski, Kozłowski. Chicago posiada kolegium utrakwistyczne pod opieką Zmartwychwstańców i akademią Sióstr Nazaretanek dla dziewcząt polskich. Jest ono dalej stolicą Związku Narodowego Polskiego i posiada od niedawna jedyny w całej Ameryce Klub Polski, gdzie zbierają się przede wszystkim najinteligentniejsze i najruchliwsze jednostki. Na miasto, które skupia do 200,000 Polaków, jest tego wszystkiego za mało, lecz jeśli się zważy, że stworzył to lud polski w przeciągu lat trzydziestu, trzeba przyklasnąć pięknej pracy i obfitym owocom. — Cream City Milwaukee czyli Gród Śmietankowy, jak go nazywają tamtejsi Polacy, ma 7 wielkich parafii polskich i kilka w najbliższej okolicy, tyleż ma miasto Detroit w Michiganie. Po Chicago są to najlepiej zorganizowane kolonie polskie, lecz ruch narodowy spoczywa w nich niestety tylko w rękach jednostek.

Pierwszą rzeczą, o którą obok kościoła starali się emigranci, była szkoła, oczywiście utrakwistyczna. Szkoły te znajdują się przy każdej prawie parafii, a sił nauczycielskich, zwyczajem amerykańskim, dostarczają przeważnie kobiety, u Polaków zazwyczaj zakonnice. Nie tu miejsce rozstrzygać, czy szkoła taka jest należytą. Stworzono je dla ochrony religii i narodowości. W każdym razie ze względu na budynki szkolne, program nauki i traktowanie dzieci przewyższa ona szkołę galicyjską, a ustępuje publicznej szkole amerykańskiej. Za kościołem i szkołą poczęło się organizować dziennikarstwo. W tej chwili drukuje się w Ameryce 44 gazet polskich, lecz cyfra ta ciągle się waha i silnie stosunkowo wzrasta w czasie ważniejszych wyborów. Wobec różnolitych interesów w różnych stanach trudno jest stworzyć organ jednolity. Podobnie jak w Europie, gazety polskie służą głównie stronnictwom lub jednostkom, lecz i w tym

względnie niełatwo znaleźć jakąś myśl przewodnią. Przyczyną tego jest między innymi i ta okoliczność, że obok dzielnych prawdziwie dziennikarzy częściej jednak spotyka się ludzi do zawodu tego nieprzygotowanych, nieszczególnej mocy pióra i charakteru. Byłoby jednak krzywdą dla Ameryki nie zauważyć, że pracują na tym posterunku ludzie, którzy ze wszelkich miar godni są wysokiego swego powołania. Do najpoczytniejszych dzienników należą: *Dziennik Chicagoski* Zmartwychwstańców, *Zgoda*, organ Zw. Nar. Pol., milwauecki *Kuryer polski* o barwie postępowej i buffalowski *Polak w Ameryce*, organ ks. Pitasa. Rolę bociana spełniał *Wiarus*, pozostający przez pewien czas w rękach Niezależnych. Wobec tego, że w Ameryce na każde 3000 mieszkańców przypada jedno czasopismo angielskie, łatwo odgadnąć, jak borykać się muszą mało czytane organy polskie, tem bardziej, że tańsze zazwyczaj gazety angielskie dostarczają mnóstwa ilustracji i kilku a nawet kilkunastu naraz arkuszy bibuły. Toteż rola dziennikarza polskiego w Ameryce, rozumiejącego wagę drukowanego słowa polskiego, jest iście tragiczną. Ludzie ci przedwcześnie tracą siły i dochodzą do pesymizmu, a z drugiej strony potrzeba serca każe im czuć na posterunku, który uważają za stracony. Widok ten smutniejszy, że młodszy dziennikarze należą nieraz do najszlachetniejszych optymistów. Rzecz oczywista, że i na gruncie amerykańskim nie brak pism socjalistycznych.

Równocześnie z czasopismami tworzyły się organizacje religijno-narodowe, narodowe, robotnicze i dobroczynne. Do najpowszechniejszych należy Związek narodowy polski ze swoją *Zgodą*. Organizacja ta urządza w oznaczonych terminach amerykańsko-polskie sejmy. Dla scharakteryzowania tych sejmów przytoczę słowa z listu amerykańskiego Polaka: »Jest czemu się przysłuchiwać. Jest to jedyne całkiem wolne kawałtko Polski i ma tyle znanych historycznych rysów«. Od siebie dodaję, że uchwały sejmów przeważnie nie bywają spełniane. Widocznie Polacy amerykańscy nie mieli jeszcze czasu pozbyć się zalet (!) starokrajskich.

Organizacje dobroczynne mają bardzo groźne nazwy, a członkowie ich podczas parady noszą mundury wojsk polskich z r. 1831. Są to rozliczni Rycerze króla Sobieskiego, Kosynierzy Kościuszki, Ułani Pułaskiego, Poniatowskiego, lub

znów z mniej wojennemi nazwami: Rycerze św. Kazimierza, św. Stanisława, św. Jadwigi, Krakusy itd. Stowarzyszenia te są przeważnie instytucjami ubezpieczeń na życie, a ponieważ w Ameryce na wypadek wojny wszyscy obywatele obowiązani są służyć ojczyźnie, dlatego członkowie wszelakich organizacji tamtejszych ćwiczą się w mustrze i strzelaniu. Czynią to także spokojni członkowie instytucji polskich, a ponieważ występują wtedy w wojskowych uniformach, dlatego Niemcy amerykańscy i europejscy piszą, jakby na ironię, o wojskach polskich w Ameryce. Pod wpływem Związku narodowego poczęło się organizować amerykańsko-polskie Sokolstwo, które jednak jako językiem ćwiczeń posługuje się przeważnie angielszczyzną. Dla pielęgnowania mowy ojczystej urządza się po różnych miastach amerykańskich polskie amatorskie przedstawienia teatralne. Cieszą się one licznym napływem widzów, lecz językiem amatorów na próbach jest również przeważnie angielszczyzna. Przez jakiś czas noszono się z myślą zorganizowania stałego objeżdżającego teatru polskiego. Myśl nie doszła do skutku, choć mogła mieć widoki powodzenia, tem więcej, że przez występy Modrzejewskiej i Kochańskiej sława aktorów polskich została w Ameryce ustaloną. Nie doszła także do skutku myśl założenia polskiego seminaryum nauczycielskiego, choć ją kilkakrotnie na sejmach uchwalano. Przyczyną tego jest niedługi wiek emigracyi i ogólnie biorąc polska niższość kulturalna w porównaniu z narodami zachodu Europy, które na gruncie amerykańskim już dawno podobne instytucje stworzyły. Brak również w Ameryce do dnia dzisiejszego banków i kas polskich, które mogłyby odegrać wielką rolę w kulturalnem i narodowem życiu emigracyi. Dzisiaj głównie kończy się i zaczyna wszystko na parafii, a niełatwo przewidzieć, co stanie się za lat kilkanaście lub później.

Przedstawiwszy w króciuchnych zarysach i z lotu ptaka dzieje emigracyi, musimy jej jeszcze poświęcić kilka ustępów ogólnej charakterystyki. Jak przedstawia się Polak w Ameryce pod względem fizycznym i duchowym, co można powiedzieć o losach języka polskiego na emigracyi. Naprzód zajmiemy się językiem. W *Oređowniku językowym*, wydawanym na wzór galicyjskiego Poradnika językowego przez ks. Górala w St. Francis, znajdujemy stałą rubrykę, poświęconą gwarze polsko-

amerykańskiej. Oto niektóre jej próbki: »chciałem wyrentować ten houz o czterech rumach, ale niema tam żadnych akomodeszens«, albo: »wygrywał na kornesie różne dense, a jego mjuzyktyczer akompenował mu na pyjeno«, albo: grała w amecer teatrze, ale jej ekspreszens i akszens wcale nie były najs«. Kto nie zna języka angielskiego, dla tego gwara ta jest najzupełniej prawie niezrozumiałą. Próbki te są obrazem języka polskiego na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Mówi tak ogół, o ile nie używa wyłącznie angielszczyzny, a inaczej mówią tylko ludzie, kształceni jeszcze w Europie, nieliczni rodowici Polacy amerykańscy, inaczej piszą jeszcze dzisiaj gazety. Orędownik ks. Górala jest dowodem, że złe to staje się rażącym i powołuje ludzi dobrej woli do trudnej i niewdzięcznej, a zarazem najszlachetniejszej pracy. Nie bez zdziwienia przysłuchiwałem się rozmowie dzieci polskich w polskiej wyłącznie dzielnicy, których rodzice nie umieli sami dobrze po angielsku. Na zapytanie, skąd wzięła się angielszczyzna w ustach takiego maleństwa, odpowiedziano mi, że spada ona z deszczem w Ameryce. Spotykałem starszych emigrantów, którzy wybornie mówili po angielsku i tym językiem głównie się posługiwali, a mimo kościoła i towarzystwa polskiego źle już mówili po polsku. Gdy na wystawie w St. Louis rozmawiałem w ojczystym języku z pewnym rodakiem, przystanął jakiś zaciekawiony młodzieniec i zapytał: czy panowie mówicie po polsku? Pytanie było wystosowane w języku angielskim. Pokazało się, że był to syn emigranta Polaka, który rozpoznawał jeszcze dźwięki polskie, lecz sam już mówić po polsku nie umiał. Słyszałem młodzież polską, urodzoną w Ameryce, która wymawiała dźwięki polskie w sposób zupełnie cudzoziemski. Uczniowie i uczennice szkół polskich, którym w obrębie szkoły nakazuje się mówić po polsku, rozmawiają mimo tego na wszystkich przerwach po angielsku. Pewien szlachetny ojciec, który z żoną rozmawiał wyłącznie po polsku i wdrażał to samo w swoje dzieci, opowiadał mi, że tylko w jego obecności używały polszczyzny, a gdy zaszedł je niespodzianie, słyszał angielszczyznę. Było to w rodzinie bardzo inteligentnej. Z drugiej strony spotyka się Polaków z wyższym wykształceniem, już urodzonych w Ameryce, którzy doskonale mówią i piszą po polsku i pełni są zapału do języka i przepojeni najgorętszym uczuciem narodowym.

Przekonałem się o tem naocznie i słyshałem o licznych podobnych przykładach z ust nauczycieli w Chicago i Detroit. Pewna panienska, już urodzona w Ameryce i dobrze mówiąca po polsku, powiedziała mi, że chciałaby, aby na całym świecie mówiono tylko po polsku i po angielsku. Redaktor Orędownika ks. Góral należy do tych, którzy już w Ameryce nabrali zamiłowania do języka polskiego. Podobnych ludzi niejednokrotnie widywałem. Dla ścisłości muszę przypomnieć, że spotykałem także ludzi, którzy wstydzi się mówić po polsku, uważając ten język za ordynarny. Jednakże zapewniano mnie, że są to zgoła wyjątkowe jednostki, które dlatego nie mogą być brane w rachubę. Jakie nadzieje na przyszłość wobec takiego stanu rzeczy, tego zdaje się nikt dzisiaj na świecie nie zdoła z całą stanowczością powiedzieć. Biorąc na uwagę za i przeciw bywałem w tym względzie to optymistą, to znów pesymistą, a niech mi to za winę nie będzie poczytanem, że częściej bywałem pesymistą. Bądź co bądź język polski rozbrzmiewa jeszcze w kościele, z małymi wyjątkami uczą się go wszystkie dzieci, które w Ameryce z rodziców polskich i dzisiaj jeszcze na świat przychodzą, więc można być spokojnym i o najnowsze nawet pokolenie. Jak zaś sądzą w tej sprawie najwykształceni Polacy amerykańscy? Najczęściej słyshałem zdanie, że emigracya powinna w tym kierunku naśladować Ajryszów (Irlandczyków), to jest z ewentualną stratą języka ojczystego zachować przecież poczucie odrębności narodowej. Wymowna taka rezygnacya brzmi bardzo boleśnie, a gdy niektórzy uważają stan taki za ideał przyszłości, znów jesteśmy gotowi do zgody, byleby przynajmniej poczucie polskości pozostało u tej pięknej i bujnej latorośli narodu polskiego na ziemiach Ameryki.

Proces szybkiego assimilowania się na rzecz angielszczyzny pochodzi także z niedokładnej znajomości języka polskiego u ludu wychodźczego. Jest to bowiem tylko gwara, której brak słów i zwrotów na wyobrażenia i pojęcia wyższokulturalne. Wraz z nowemi pojęciami przybývają obce wyrazy, a raz nabyte przyzwyczajenie staje się w końcu nałogiem.

Fizycznie przedstawia się przesiedleńca amerykański bez porównania korzystniej, aniżeli jego europejski współplemieńca, choć i w tym względzie należy zrobić różnicę między emigrantem a najbliższem jego pokoleniem. Wpłynęło na to

wyborne i obfite odżywianie się i zdobyta w całym tego słowa znaczeniu godność ludzka, która wypływa wprost z ustawodawstwa amerykańskiego, nie znającego rozdziałów między obywatelami. Pierwsi emigranci poddają się jeszcze patriarchalnej władzy parafialnej, lecz ich potomkowie rozumieją już dobrze, że parafianie wyłącznie swoim kosztem opłacają księdza i kościół. W niektórych parafiach ksiądz nie jest nawet członkiem Komitetu kościelnego. Gdzieindziej jednak, jak w diecezji chicagoskiej, patriarchalna władza parafialna stała się prawem zwyczajowem. Podobnie ma być w diecezji nowojorskiej. Na szczególną uwagę zasługuje już w Ameryce urodzone potomstwo. Zginęła gdzieś bez śladu zgrubiałość rysów i niezręczność w obejściu. Niedoszłe parobczaki i wiejskie dziewczuchy przeobrazili się w paniczów, szczególnie dziewczęta schludnie postrojone i z angielskim swoim szczebiotem przypominają często najwybredniejsze panny krajowe z high life. Nieraz niepodobna się nadziwić temu raptownemu przepoczwarczeniu się w typ prawie zupełnie odmienny. Mają też Polki sławę pięknych dziewcząt w Ameryce. Małżeństwa polskie cieszą się w Ameryce licznem i zdrowem potomstwem. Jednak już dzisiaj, chociaż powoli i z trudnością wciska się, lecz tylko do rodzin najoświecieńszych, system dwojga dzieci, który w pewnych klasach społeczeństwa amerykańskiego staje się coraz bardziej powszechnym. Warstwy robotnicze polskie płodzą we własnym, choć źle zrozumianym interesie, proletaryat roboczy. Gdzie dużo w domu dzieci, tam po skończonym 15tym roku życia idą wszystkie do roboty, a zarobkiem muszą się dzielić z rodzicami. Nieopatrni ojcowie cieszą się z tej chwilowej korzyści, niepomni, że w ten sposób mijają się okropnie z rodzicielskim swoim obowiązkiem. Ta płodność Polaków i na drugiej półkuli sprawia, że mimo wielkich ubytków na rzecz panamerykanizmu i różnorakiego sekciarstwa ludność polsko-katolicka wzrasta stale i silnie. Związki małżeńskie kojarzą się głównie między swoimi; małżeństwa mieszane, stosunkowo najczęściej z katolickimi Ajryszami i Niemcami, są jeszcze dzisiaj bardzo nieliczne, a do wyjątków należą małżeństwa z członkami innych wyznań; jeszcze bardziej wyjątkowe są związki z Murzynami, a nawet Indyanami. Okoliczność ta, że Polacy łączą się przedewszystkiem ze swoimi, ma wielkie

znaczenie dla względów narodowych, gdyż utrzymuje bardzo silnie tradycją pochodzenia. W ten tylko sposób amerykańscy Ajrysze mimo angielskiego języka przechowali swój gorący irlandzki patryotyzm. Opowiadali mi księża Zmartwychwstańcy w Chicago, że w niedzielę bogaci Amerykanie przejeżdżają się bogami po polskich dzielnicach, aby napatrzeć się mnóstwu dzieci, które formalnie roją się przed polskimi domami.

Wyjawszy New Jorku i sąsiednich miast portowych jest w Ameryce zasadą, że każda rodzina posiada własny dom lub domek. Owe dwudziestopiętrowe »drapacze nieba« służą tylko na pomieszczenie biur czyli z amerykańska ofisów najrozmaitszych przedsiębiorstw i przedsiębiorców. Lecz po godzinie ósmej piramidy te opróżniają się, a ulice biznesowe pustoszeją. Po pracy wraca Amerykanin kolejką elektryczną pod własną strzechę i wypoczywa lub bawi się w zaciszu ogniska domowego. Nie znaczy to, jakoby zbywało Ameryce na amatorach knajpy i innych nocnych nieprzyjemności. Lecz własny dom jest mimo to dla Amerykanina zasadą. Stąd pochodzi niezmierna rozległość tamtejszych miast, na której nikt jednak nie cierpi, bo najodleglejsze ulice związane są tramwajem elektrycznym z centrum miasta. Mają też swoje własne domki polscy emigranci, skupieni dzielnicami przy swoim kościele i szkole. Dom taki, najczęściej drewniany, ma co najmniej trzy pokoje na dole i sypialnię na pięterku i musi być połączony z ogólno-miejskim kanałem i wodociągiem. Prawie w każdym robotniczym domu polskim znajdzie się łazienka, a u cokolwiek zamożniejszych telefon. Gdzie go niema, tam niedaleko zazwyczaj saloon (gospoda) lub grocernia (sklep korzenny), skąd na koszt gospodarza można się w każdej chwili porozumiewać. Różnie bywa w tych polskich domkach, lecz na ogół trzeba przyznać, że robotnik polski w Ameryce lepiej, higieniczniej i kulturalniej mieszka, aniżeli niejeden wyższy urzędnik galicyjski. Kąpieli używać może codziennie, a jada mniej może smacznie, lecz bodaj czy nie pożywniej i obficiej aniżeli średnio-zamożny mieszkaniec naszego kraju. Prawda i to także, że w wysokim stopniu zachował starokrajską skłonność do gorących napojów i oddaje się pijaństwu przy każdej sposobności. Ponieważ w Ameryce niema przymusu wojskowego, dlatego małżeństwa zawierają się o wiele wcześniej niż w Europie. Reguluje to w zna-

cznym stopniu stosunki płciowe, a ponieważ nadto swoboda towarzyska między kobietą a mężczyzną jest w Ameryce bardzo wielką, dlatego prócz New Jorku w wielkich miastach amerykańskich widzi się bez porównania mniej prostytutce niż w zbiegowiskach europejskich. Przytem ustawodawstwo amerykańskie bierze zawsze w opiekę pokrzywdzoną niewiastę. Jeżeli gorący młodzieniec uwiedzie dziewczynę, obiecując, że się z nią ożeni, warunku tego musi dopełnić. Inaczej dostaje się pod klucz i siedzi dopóty, dopóki nie pójdzie przed mayora czyli po naszymu do ołtarza albo też nie złoży żądanej sumy dla pokrzywdzonej. Polki amerykańskie korzystają nieraz z tej konieczności, aby uniknąć gorszego losu. Zapewniano mnie, że ogólnie biorąc dużo jest swobody wśród młodej Polonii, lecz niema ani cząstki tych krzywd i hańby, jakich doznają lekko-myślnie dziewczęta w wielkich miastach starego kraju.

O życiu umysłowem Polaka amerykańskiego dużo bardzo dałoby się powiedzieć. W zasadzie nie różni się ono od Polaka europejskiego. Tesame spotyka się zdolności, tęsamą lekko-myślność i tosamą lenistwo. Kto wie jednak, czy pierwszeństwa w dobrem nie należałoby oddać Amerykaninowi, a zdanie to tem większej nabierze wagi, gdy się zważy, że to dopiero najbliższe potomstwo polskiego ludu. Najdawniejsi osadnicy, głównie z pod zaboru pruskiego, dorównali już w dobrem najkulturalniejszym narodom, a pokolenie ich zawstydzić może ogół naszej młodzieży krajowej. Wśród Polaków w Ameryce niema wcale analfabetów i niema ludzi, nie znających praw swoich obywatelskich. Zdanie to w całości prawdziwe dużo daje do myślenia. W Ameryce nikt przed drugim nie czapkuje, ani o nic nikogo nie prosi, ofiaruje tylko swoją pracę i żąda dobrej zapłaty. Ludność polska w olbrzymiej swojej masie stanowi niestety tylko kadry robotnicze. Jest to podarunek starego kraju, którego na nowej ziemi dotąd jeszcze pozbyć się nie może, choć postęp w tym kierunku jaskrawo wpada w oczy. Za ledwie dziesiątą jej część oddaje się farmerstwu czyli uprawie roli i żyje w zupełnym dostatku, dla którego wśród warstw włościańskich starego kraju daremnie szukalibyśmy porównania. Około 20% oddaje się wolnym zawodom i rzemiosłom, reszta pracuje po najrozmaitszych fabrykach i kopalniach, przeważnie w charakterze robotników, rzadko majstrów i nadzor-

ców, a jeszcze rzadziej inżynierów. Bardzo tylko niewielu bierze czynny udział w wielkiej przedsiębiorczości i w wielkim przemyśle. A jednak już dzisiaj mają Polacy nietylko swoich księży, lecz także swoich lekarzy, nauczycieli, adwokatów, notaryuszy, sędziów pokoju, aptekarzy, kupców różnego rodzaju i nawet przemysłowców. Wszystko to jest dorobkiem lat zaledwie trzydziestu. W wielkich miastach Chicago, Milwaukee, Detroit i innych mają swoich aldermanów czyli radnych miasta i innych ratuszowych dygnitarzy. Na swojej ziemi lud ten mieszkałby w gnoju i żywił się postnymi kartoflami i postną kapustą. Gdy się o tem pomyśli, żywiej serce uderza z radości nad tą energią polskiego ludu, lecz gdy zestawi się dorobek jego z Niemcami, Ajryszami, Szwedami, Czechami i innymi, widzi się dopiero, ile mu jeszcze pozostaje do roboty. Słyszałem nieraz w Ameryce skargi na księży polskich, którzy lud ten mają utrzymywać w ciemnocie i usuwać się od wzrosłej na jego gruncie inteligencji. Mówili to ludzie, którzy wszystko odrazu chcieli widzieć doskonałym, zapominając o tem, jak ważną rolę odegrało duchowieństwo polskie w organizowaniu emigrantów. Księża jeszcze dzisiaj olbrzymią mają u ludu powagę i dlatego głoszenie takich wyroków uważałem za rzecz dla emigracyi szkodliwą. Z latami znajdzie się droga należyta, a zwłaszcza wtedy, gdy opiekę duchowną nad Polonią amerykańską sprawować będą księża Polacy, urodzeni w Ameryce i w innych wychowani zasadach. Każdy Polak amerykański czyta książki i gazety, więc droga do światła stoi mu otworem. Światło to przychodzi coraz szybciej, a uniknąć go nie zdołają nawet nietoperze. Najzgubniejszą wadą amerykańskiego Polaka jest umysłowe lenistwo. Okazuje się to przedewszystkiem w kształceniu młodzieży. Wobec niezmiernej liczby szkół w Ameryce wykształcenie wyższe i najwyższe tylko temu się nie dostaje, kto jest umysłowo tępym lub kto nie chce korzystać z garnącej się do niego wszystkimi ułatwieniami nauki. Potomkowie emigrantów w małej nieproporcjonalnie liczbie korzystają z nauk wyższych, ogół poprzestaje na ośmioletniej szkole elementarnej. Winna temu owa interesowna nieprzezorność rodziców i katolicka niechęć do szkoły publicznej, którą posadzają o bezwyznaniowość i inne grzechy. Jednak istniejący już szereg wykształconych emigrantów budzi coraz szersze na-

śladownictwo. Coraz liczniej odwiedza młodzież prywatne kolegia duchowne, lecz unika dotąd prawie stale bezpłatnych kolegiów świeckich.

Zwyczaje i obyczaje emigranta zmieniły się do niepoznania. Pozostało tylko przywiązanie do katolicyzmu i potrzeba współżycia z rodakami. Zniknęła bez śladu starokrajaska pokora i czołobitność, niema niezgrabności i bezradnego skrobania się po głowie, zginęło na wieki pojęcie chłopca, jako istoty przeznaczonej od Boga na końską robotę, nie dopatrzyłby się ani szczątków tego, co w Europie nazywa się herbowem szlachectwem, nieuznawanem przez ustawy amerykańskie. Rzecz naturalna, że zginęła także jedna dla wszystkich miszka i drewniane łyżki. Takie przedmioty przechowuje się w Ameryce tylko w muzeach, jako zabytki przeżytej kultury. Nie jest też znaną w Ameryce różnica stroju; kostyminy noszą tylko Indianie i aktorzy podczas specjalnych przedstawień. Gdy starsi emigranci opowiadają dzieciom o dawnej pracy na roli, o suchych kartoflach, różnicach stanu, sukmanach i analfabetyzmie, dzieci nie dają temu wiary, uważając opowiadanie za czysty wymysł. — W kościele odznacza emigranta (nie brak oczywiście licznych wyjątków) starokrajaska pobożność, lecz rzecz jasna, iż zapomniało się o niehygienicznym całowaniu podłogi, o wylegiwaniu się krzyżem i wydawaniu głosów brzuchomowczych podczas podniesienia. W kościele polsko-amerykańskim pobożnie, ale cicho. Pieśń powszechną zastąpił chór doborowy. Polsko-amerykańskie kościoły są najpiękniejszymi i ze względu na aparaty liturgiczne, obrazy i urządzenie najbogatszymi w Ameryce. Poświęcone są świętym polskim, a więc: św. Stanisławowi, Wojciechowi, Kazimierzowi, Józefatowi, Jadwidze i innym. Kult Najświętszej Panny jest wśród emigrantów bardzo powszechny i objawia się w sposób przeróżny. W jednym z najpiękniejszych kościołów w Ameryce, u św. Józefata w Milwaukee, widziałem na wewnętrznej stronie olbrzymiej kopuły obrazy wszystkich cudownych malowideł Matki Boskiej ziem polskich starego kraju z odpowiednimi napisami i herbem trójjedynym Rzeczypospolitej. Ofiarność emigrantów na kościoły i duchowieństwo jest istotnie ogromną. Rząd do tych rzeczy z ustawy wcale się nie wtrąca, więc utrzymanie kościoła i księdza odbywa się jedynie kosztem parafian. To także dało powód do

ruchu Niezależnych. Ponieważ dyecezalność jest wyłącznie rzeczą kościoła, która rząd nic nie obchodzi, zatem biskup dyecezalny jako osoba prawna nie istnieje. Wszystkie zaś kościoły dyecezalne z woli Rzymu zapisane są na biskupa, lecz nie jako głowę dyecezyi, ale jako pana X. Y. Wobec tego biskup mógłby sprzedać komukolwiek wszystkie swoje kościoły wraz z inwentarzem. Przykładu takiego dotąd nie było, z czego nie wynika, aby się nie mógł zdarzyć. Sarkają na stan taki oświeceniści, a gdy nadto biskupami z reguły są tylko Ajrysze i Niemcy, powstała sekta niezależnych, która modli się na dawny sposób, lecz, uważając Rzym za obałamucony, utrzymuje własnych biskupów, poświęconych przez starokatolików i mających sukcesyją apostolską. Nadzieja rychłego mianowania Polaka biskupem w Ameryce wstrzymała niezależnych, lecz ruch sam został na razie zawieszony, ale nie zniszczony.

Poczucie narodowe emigrantów jest na ogół dość żywe, a niektórzy dopiero w Ameryce nauczyli się kochać dawną swoją ojczyznę. Tutaj znaczna różnica zachodzi między wychodźcami a ich potomstwem. Starzy doznają często nostalgii i wrywają się do Polski; miłość ich ku ziemi ojczystej jest do pewnego stopnia żywiołową. Młodzi i urodzeni w Ameryce zą ojczyznę swoją uważają Amerykę, a miłość dla Polski ma u nich znamię pięknego idealizmu. Z pośród bohaterów narodowych czei emigracya tych przedewszystkiem, którzy imię polskie związali ze sprawą amerykańską. A więc nie Mickiewicz, lecz Kościuszko i Pułaski są amerykańskimi bohaterami narodowymi. Są oni chlubą i dumą Polonii wobec Amerykanów i innonarodowców. Pomniki Kościuszki, dźwignięte kosztem Polaków, wznoszą się na trzech publicznych miejscach w Ameryce: jeden w Cleveland, drugi w Chicago w pięknym parku Humboldta nad jeziorem Michiganu, trzeci w parku Kościuszki w Milwaukee. Za lat kilka wzniesione zostaną pomniki Kościuszki i Pułaskiego w stolicy wielkiej rzeczypospolitej t. j. w Waszyngtonie. Uroczystości narodowe obchodzi się w Ameryce z wielką okazałością, a do współudziału zaprasza się także innonarodowych obywateli Ameryki.

Obyczaj ściśle polski zanika wśród emigracyi coraz bardziej, przeważnie zaginęło nawet starokrajskie święcone i wigilijny opłatek. Najpowszechniejszą rozrywką emigrantów są

t. zw. fairry, zabawy ludowe głównie pod gołym niebem. Program ich przypomina nasze porządne festyny, a dochód bywa obracany na cele kościelne, dobroczynne lub narodowe.

Niektóre rodziny, nie mogąc pogodzić się z dogmatyzmem wyznaniowym ludu, trzymają się na uboczu lub starają się o skupienie podobnie myślących jednostek. Jaki będzie rezultat tych usiłowań, powiedzieć nie umiemy; to pewnem, że w Ameryce szkoda idącej luzem każdej szczerze polskiej a oświeconej jednostki. — Prócz katolików i niezależnych napotyka się tutaj ewangelików polskich, którzy pod względem narodowym taksamo się przedstawiają. Żydzi polscy, których tu jest mnóstwo, już w kraju nie używali języka polskiego. Na obczyźnie należą do żywołów, które powierzchownie najszybciej ulegają assymilacyi. Są jednak zaszczytne wyjątki, które uczestniczą w pracy Polaków i pielęgnują z zamiłowaniem język ojczysty.

Za lat kilkanaście społeczeństwo polsko-amerykańskie dozna gwałtownego przeobrażenia, gdyż rząd spraw przejdzie już w ręce potomstwa amerykańskiego. W jaki sposób to przeobrażenie się objawi, jakie będą jego rozmiary i prądy, jakie skutki na przyszłość, o tem jako o przyszłości mówić nie chcemy. Jest niezawodnem, że w każdym razie zaginie wtedy najzupełniej patryarchalno-ludowy charakter emigracyi, a zarazem wzrosnie przewaga inteligentnych żywołów świeckich na późniejszą niekorzyść duchowieństwa. Reasumując, co skreśliłem z konieczności krótko i niewyczerpująco, rzecz o Polakach w Ameryce zakończę słowami listu pewnej rodaczki z Buffalo: »Kocham kraj swój (t. j. Polskę) i jest on dla mnie ściśle zespolony z ideą wyzwolenia tego, co jest uciśnięte i poniżone — czy w jednostce, czy w narodzie, czy w ludzkości. Ale nie zapatruję się tak źle na Polaków w Ameryce, natomiast nie tak dobrze na nasze stosunki krajowe. Polonia tutejsza to jak orzech w zielonej i twardej łupinie; długo trzeba się w nią wzywać, aby ocenić cały zasób soków żywotnych, które posiada i dojrzeć drobne ale obfite dowody jej niewyczerpanej energii. Zapewnie, że my nigdy Polską się nie staniemy, ale pomagamy jej i jeszcze więcej możemy pomagać finansowo, wreszcie możemy wydać z pośród siebie jednostki bardzo pożyteczne dla sprawy ogólnej, a wreszcie moglibyśmy służyć za przedmiot

bardzo pożytecznych studyów, któreby pouczyły kraj o sposobach naturalnego i najwłaściwszego rozwoju dla uciśnionych mas w kraju... My tu mamy rodzącą się polską przedsiębiorczość, ale brak nam oświaty (w wyższem tego słowa znaczeniu). W Polsce zaś jest okropne zabagnienie na wszystkich polach, właśnie dla braku przedsiębiorczości. Nie tracę z oczu pism i spraw krajowych i to, co widzę, robi na mnie wrażenie młodzieńczych marzeń, zapalonych uniesień, dorywczych porywów, podczas gdy praca ta ciężka, praca w kamieniołomach faktycznego wytwarzania, wcielania słowa w czyn, a teorii w rozwój rwie się nam w rękach; masy ludu opuszczają kraj, ziemia usuwa się z pod nóg, niema żadnego hasła, przy którymby cały kraj stanął niepodzielnie. Zasady pedagogiczne rozbite, język nie posiada jednolitej uprawy, jesteśmy rozbici na indywidualia, a te — jak rzadko mają indywidualność!«

